NUMER 1. DNIA 6. STYCZNIA 1906 ROKU. ROK XIV.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

* * *

Gdzież, Warszawo wstająca,
Twoje wczorajsze Słońca?
Twe sezono-zimowe Oriony?
Tak przejasno świeciły,
Tak widne od nich były
Te przygędźbne, przegłośne salony...

Czyżby ich blask zjawiony
Był złudny, pożyczony,
I noc tylko ich zjaśnień przyczyna?
A skoro Świt wybrzasnął,
Jak blask skradziony zgasnął,
Jak gwiazd lica, gdy świtać poczyna...

Gdzież, Warszawo wstająca,
Twoje dawne dzwonniki,
Twoje bardy, gędźbiarze, Or-oty?
Owa rzesza grająca
Na różne harmoniki
Rozpylone po murach tęsknoty?...

Czyżby w swej pierśnej lutni
Jeden ton znali, smutni,
Przeubogi, cmentarny śpiew trznadli?
A przy orkiestrze całej
Twej mocy zmartwychwstałej
W zamilk trwożny jako w sen zapadli?

Chyba, że dwie was było
Nie jednej krwi,
A o jednem skrwawionem imieniu?

. . . .

Jednej się nocą żyło,
Życie się przebawiło,
Dzień zastał ją, jako po balu, w uśpieniu —
Warszawa śpi...

Pogasły nocne jej słońca,
Pomilkła gędźba gędząca —
Dreszczem jeno wstrząsa ją świt zimny...

. . . .

A ty, Warszawo, wstająca
W świtania krwi,
Nowe zapalasz słońca
I nowe rodzisz hymny!

WŁADYSŁAW ORKAN.

DR. FRANCISZEK PIEKOSIŃSKI.

Włodzisław Herman

KSIĄŻĘ POLSKI. 1085.

Jeśli Włodzisław Herman uchodził dotąd za księcia o bardzo miernych zdolnościach, ledwo że nie za niedołęgę, to w świetle ostatniej pracy profesora Wojciechowskiego*) schodzi on do roli niepospolitego łajdaka na tronie Piastów: on uknuł spisek z największymi wrogami Polski, cesarzem Henrykiem IV i Wratysławem, królem czeskim, przeciw Bolesławowi Śmiałemu, którego skutkiem było zegnanie tego dzielnego i wiele obiecującego księcia z tronu, utrata na długie czasy godności królewskiej a wreszcie utrata Krakowa na korzyść Wratysława czeskiego.

Wprawdzie udało się stosunkowo w krótkim czasie odzyskać napowrót Kraków od Czechów, ale na koronę polską czekać musieliśmy obeszło lat

*) Szkice historyczne XI. wieku (Kraków 1904), szkic VII i IX.

dwieście (do roku 1295) a ta utrata godności królewskiej na lat obeszło dwieście jest, kto wie, czy nie najważniejszym w skutkach faktem historycznym w dziejach naszej ojczyzny. Przypatrzmy się tej sprawie bliżej.

Gdyby Bolesław Krzywousty był królem polskim a Polska królestwem, co byłoby się niewątpliwie stało, gdyby Władysław Herman przy pomocy swoich łotrowskich sojuszników nie zegnał Bolesława Śmiałego z tronu, nigdy nie byłby po śmierci Krzywoustego nastąpił podział Polski na pięć dzielnic, ale Polska jako królestwo dostałaby się Władysławowi II jako seniorowi, a juniorowie musieliby się kontentować drobniejszem wyposażeniem (po kilka grodów n. p.), ale o wyznaczaniu dla nich całych dzielnic i przeprowadzaniu najstarszego podziału Polski nie mogłoby być mowy. Nie byłyby się więc potworzyły w naszej ojczyźnie liczne a słabe księstewka, które niezawsze były w stanie dać sobie rady z niepzyjacielem, w szczególności zaś nie byłby istniał okrutny a łakomy Konrad mazowiecki, który zamiast zwrócić całą swoją siłę przeciw dzikim Prusakom, wolał jak prosty rozbójnik napadać i nękać dzielnicę małopolską swego bratanka Bolesława Wstydliwego a przeciw Prusakom sprowadzać Zakon krzyżowy, któremu cały dzisiejszy nasz los garbaty zawdzięczamy.



PIECZĘĆ WŁADYSŁAWA HERMANA.

Byłby natomiast królem polskim Henryk Brodaty, wnuk Władysława II, książę wysoce roztropny i dzielny, który niewątpliwie dałby rady Prusakom i nie potrzebował przywoływać do pomocy Zakonu krzyżowego.

Również Śląsk nie byłby odpadł od Polski, gdyż nie stanowiłby nigdy osobnej dzielnicy, lecz byłby tylko województwem na równi z innemi województwami.

Podły czyn Władysława Hermana sprowadził na Polskę największe nieszczęścia; jemu też przypisać należy tragiczny zgon biskupa krakowskiego Stanisława, gdyż on wciągnął biskupa do swych haniebnych machinacji.

Wszystkie te jednak rzeczy należą do historyków; nas zaś obchodzi fakt, że po Władysławie Hermanie dochowała się jego pieczęć majestatowa, najstarsza znana pieczęć polska wieków średnich. Bo jakkolwiek dawniejszą jest pieczęć królowej Rychezy, wdowy po królu Mieszku II Bolesławowiczu, to jednak pieczęć królowej Rychezy pochodzi z r. 1054 a zatem z czasów, kiedy Rycheza nie była już więcej królową polską, lecz lata swego wdowieństwa jako Niemka w Niemczech przepędzała. Stąd też pieczęć królowej Rychezy tylko ubocznie ze sfragistyką polską się wiąże. Wobec czego pieczęć Władysława Hermana uważać należy za najdawniejszą pieczęć monarszą polską. Co najbardziej zastanawia w tej pieczęci, to to, że książę siedząc na krześle tronowem, którego nogi przedstawiają łapy zwierząt, trzyma miecz złożony na kolanach. Zwyczajnie książęta na pieczęciach trzymają miecz podniesiony do góry, wsparty na ramieniu; miecz złożony na kolanach jest symbolem upokorzenia. Jakoż, jeśli sobie przypomnimy, że Władysław Herman, spędzając z tronu Bolesława Śmiałego, czynił to na życzenie i przy pomocy cesarza Henryka IV i za zezwoleniem cesarza opróżniony po Bolesławie Śmiałym tron zasiadł, to ów miecz złożony na kolanie uważać będziemy jako ukorzenie w obec cesarza.

FELIKS GWIŻDŻ.

Wojenna pieśń.

Jedziemy, jedziemy wojenne chłopaki,
Wiedzie nas, wiedzie nas — zgadnijcie, kto taki?
Juści, że Łętowski harcuje na przedzie,
Z ciupażkami chłopców na wojenkę wiedzie.
Dudnią bystre wirchy, hałasują bory,
W słoneczku, w słoneczku lśnią nasze topory.
Śmieją się radośnie pozłacane wody —
Jedyć sie radują z tej naszej urody.
Za białe kosteczki na Orawie rżnięte
Wsadziliśmy sobie piórka ładnie spięte.
Te orle piórecka migocą, migocą,
A jak koń podskoczy: dygocą, dygocą...
Niedaleko Ciorśtyn, ciorśtyńskie grodzisko,
Hej! czuwajmy, chłopcy, bo wojenka blisko.
Juści pan Napierski, nasz harnaś mocarny,
Wyjdzie nas przywitać wesoły i harny...
Juści pan Napierski, nasz brat ukochany,
Wyjdzie nas przywitać, swoje Podhalany...
A potem wineczko złote pić bedziemy,
Hej! a potem, a potem na bitke pójdziemy.
Pójdziemy pod Kraków, pod królewskie grody,
Aż sie zadziwują wszyściutkie narody —
Królowi powiemy z harnasiem pospołu:
„Dopuść-że nas, dopuść, do równego stołu,
Dopuść-że nas, panie, bo my przecie ludzie,
Za was pracujemy w krwią ciekącym trudzie...“
A jak król ni słówka do nas nie przepowie,
To, co my znaczymy, wnet sie od nas dowie...

Jedziemy, jedziemy wojenne chłopaki,
Hej! wiedzie nas, wiedzie nas — zgadnijcie, kto [taki?

Michał Płoński.

Smutniej jeszcze, jak Orłowski, skończył Płoński, drugi z norblinowskiej szkoły grafik. Sytuacja życiowa Orłowskiego pozwoliła mu wpływać, pozwoliła mu zostawić kontynuatorów swego dzieła. Płoński, młodziutki towarzysz Orłowskiego w wycieczkach z mistrzem do Arkadji, wpływu tego nie miał czasu zdobyć. Wcześnie wyniósł się na Zachód. Osiadł zrazu tam, gdzie kiedyś otwartemi oczyma spoglądał na życie mistrz Norblina Rembrandt. W Amsterdamie raz jeszcze w świetnych planszach wywołał ducha Van Ryna, z olbrzymią umiejętnością rysunkową i techniką i wprawą rzucił szkice żebraków, koszykarzy, młodych chłopaków, dziewcząt, kobiet, oficerów, wydał swe świetne Recueil de 19 planches études de figures déssinées d'après nature à Amsterdam en 1702 (!) et gravées spirituellement à l'eau forte par M. Plonski à Paris chez Jean Editeur. Sztychował niezrównanie Rembrandta, Netschera, Dietricha, Metzu, Ostade, Coquesa, Teniersa, Coninga, Schalkena, Gerarda Dou. W Paryżu jednak „zdaje się, że przed samym rokiem 1810 poczęła się już objawiać groźna umysłowa choroba, która wkrótce przedwczesny jego zgon sprowadzić miała. Uczuł wśród niej naprzód tęsknotę za Ojczyzną, a choć środków do drogi wygodnej mu nie brakło, wybrał się przecież z blachami do rycin swych w ręcznym tłómoczku upakowanemi, piechotą z Paryża do Polski. Ale po kilku dniach męczącej podróży, było mu z niemi przecież za ciężko, wrócił zatem napowrót, sprzedał wszystkie swe rytowane blachy za ośm franków i potem dopiero puścił się znowu w pieszą swą dziwaczną wędrówkę. Przybył do Warszawy znużony, bez pieniędzy, prawie obdarty; zdaje się, że następnie po tych dziwnych pierwszych wybrykach zboczonego umysłu, znowu na czas jakiś wrócił do dawnego stanu i robił wówczas małe portreciki akwarelami, co raz to p. r. 1800 modniejsze, a za jeden z nich dukata mu płacono. Ale długo to już przecież nie trwało; w październiku 1811 dostał zupełnego pomieszania zmysłów i zamknięto go wtedy w szpitalu warjatów przy klasztorze bonifratów w Warszawie. Tam też ostatnie dni jego smutne zamknęły się niebawem w wieku zaledwo przed paru miesiącami ukończonych lat trzydziestu“.

Dzieło też jego jest tylko dziełem rozpoczętem. A rozpoczętem świetnie. Nie tak obfitym, nie tak wszechstronnym, za to najbardziej artystycznym jest wyrazem norblinowskiego kierunku. Notatki ruchów, sytuacji i pejsażowych nastrojów, jakie tamci poczynili — Płoński starał się oddać w prawdziwie artystycznej formie. Problemy techniczne i formalne nie stoją dlań tak na uboczu, jak dla tamtych. Stają się one dla niego niemal celem, kiedy już wybrał motyw. To też nie widać u niego tej jednostajności techniki kreskowej, rombowej szachownicy, zygzakowatej linji i kropek. Ręka jego lżejsza, nie tak brutalnie rozmachuje się po papierze, idzie więcej za kształtem, umie dotknąć lekko i dać krótką a cienką linję, umie położyć ołówkiem plamę jednostajną, nie robi z kształtu szablonu, ale prze-

ciwnie chętnie nagina się do niego, nie cofa się przed trudem narysowania kilku linji i plam, gdzie tamci brutalnie jednoczyli i upraszczali wszystko i przez to często zatracali charakter materjału. Takim jest



na świetnym rysunku żebraka z Muzeum Czartoryskich, takim na swoich akwafortach. Jedynie Norblin w dobrej szkole wykształcony — lecz ani Orłowski, ani Sokołowski, ani Zabiełło nie byliby w stanie z taką poprawnością narysować, tak artystycznie ująć i tak oddać materjał marmuru — jak to uczynił Płoński, malując gwaszem dwa posągi marmurowe filozofów, znajdujące się niegdyś w Nieborowie, rysunki, które tak świetnie o nim dziś świadczą w Muzeum Czartoryskich w Krakowie. Bo bez wątpienia nawet na ten temat nie byłby łakomy Orłowski, który nie we formie, ale w treści, w sytuacji dostrzegał piękno, one go tylko interesowały, o ile mógł rysując, odnawiać sobie w duszy i na papierze postacie czerkiesów, koza-



ków, szlachty mamutowej, żebraków. Ta przeźroczysta białość kamienia nie byłaby do niego przemówiła. Podobnie też żaden z nich, z wyjątkiem może Sokołowskiego, nie byłby zdolny z takim technicznym pomysłem zabrać się do pejsażu, jak to uczynił Płoński w swym górskim, piórkiem rysowanym krajobrazie w Muzeum Czartoryskich.

Ale przeciwnie i Płoński nie gardził, zwłaszcza u początku swej krótkiej karjery, karykaturą. W galerji poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk jest cały szereg jego szkiców, w niczem się nie różniących od karykaturalnych notatek Orłowskiego. Kulawa żebraczka, chłop z perkatym nosem, i inny, któryby koniecznie powinen użyć do swego nosa chustki itd. — same karykatury karykaturalnego już i tak pospólstwa, którego tyle wówczas się kręciło, które tak cechowało tę epokę rozprzężenia.



A i technika tych szkiców jest nawskróś techniką tej grupy rysowników. Te same lekceważące rysunek grube, ostre linje, ta sama zygzakowata linja, te same kropki. Z Orłowskim ta różnica, że wyżej akcentuje akwarelowe tony barwne — to go zaś zbliża do Sokołowskiego.

Lecz prawdziwy, wykwintny artyzm jego ręki wypowiedział się naprawdę dopiero w akwafortach. Brak tu miejsca na analizę artystyczną załączonych reprodukcji. Wysoka jednak wartość tych plansz jest widoczną odrazu. O ile żyd amsterdamski wykazuje jeszcze wpływy Rembrandta, o tyle piesek narysowany jest już zupełnie samodzielnie, a przytem tak, że śmiało mógłby pochodzić z ręki jakiegoś dzisiejszego artysty-rytownika. Podobnie one trzy głowy męskie, z których najbardziej na prawo posunięta jest bezwątpienia auto-portretem Płońskiego. Tej subtelności, jaką tu widać, nie miał nawet Norblin, który miał więcej „jędrności“. Kiedy dalej Norblin przejmuje się Rembrandtem do tego stopnia, że lubi czerpać swe tematy z biblji i z mitologji, a ludzi swych ubierać we wschodnie, fantastyczne stroje — Płoński od wielkiego mistrza bierze jedynie światłocień, a jeżeli pozostaje mu najzupełniej wierny, to tylko wówczas, gdy kopiuje.

Rozpoczął jednak tylko dzieło, zapowiedział wiele i odszedł. To nowe, co dorzucił, leżało jedynie w dążeniu do doskonałości, niestety jednak nie było czynnikiem, któryby się rozpowszechnił. Dlatego postać jego jedynie w genetycznym pozostaje związku z resztą ówczesnej działalności, nie zaś przyczynowym, gdyż to, co dał, nie przeszło na nikogo, spadkobierców nie zostawił.

Marjan Olszewski.



WIDOK KROSNA.

(*Według A. Cellariusa „Regni Poloniae... descriptio“, Amsterdam 1659*).

„Krosno dla wspaniałości murów i kamienic, dla zacności i wyboru konsulów i prokonsulów radą i cnotą zaszczyconych, niegdyś było sławne, przez wielość praw i przywilejów, przez porównanie *in parte* w wolnościach ze stołecznemi miastami, bytnością królów zaszczycone. Przed czasy *parva Cracovia* (mały Kraków) nazywane, teraz na ostatnią przyszło ruinę i tak okropne spustoszenie, iż słusznie przypisać można: *nec locus, ubi Troia fuit*, będąc przedtem całej ziemi przed zbójami węgierskimi *receptaculum* (schronieniem)“. Do tego świetnego stanu, o którym na początku wspomina lustracja Krosna z r. 1765, przyprowadzili miasto Kazimierz Wielki, Władysław Jagiełło, Kazimierz Jagiellończyk i Zygmunt I. zapomocą hojnych przywilejów, oraz samo położenie miasta na trakcie handlowym rusko-węgierskim. Wspaniała fara, ze słynnymi na całą Polskę dzwonami, starożytny kościół Franciszkanów, ratusz z zegarem, domy mieszczańskie z epoki renesansu, podcienia biegnące w okół rynku, potężne mury z dwoma bramami w basztach czworobocznych i 16 basztami okrągłemi na zewnątrz, a wewnątrz stan mieszczański bogaty (słynny Robert Porcjusz, mieszczanin krośnieński z XVII w.) i kulturny (Paweł z Krosna) — takie to było Krosno w złotym wieku — takiem jest jeszcze na powyższej rycinie.

Upadek rozpoczął się w r. 1638 pożarem, który miasto zniszczył do szczętu, w siedm lat później wylew rzeki, napady Tatarów i Rakoczego, proces z Firlejami, 50 lat trwający, butny magnat Zygmunt z Pleszewic Fredro, który wojskiem swem zaciężnem zdobył Krosno i obłożył je ździerczą kontrybucją — dokonały reszty. W drugiej połowie siedmnastego wieku swawolny żołnierz tutaj hasał do tego stopnia, że np. „pułk Łączyńskiego miasto to zupełnie zniósł i w niwecz obrócił“. Pobory wojskowe były straszne, tak, że z końcem XVII w. całe miasto zostało wydzierżawione, aż do zapłacenia długu 11.107 złp. Uciskał Krosno kto chciał podówczas, nawet swój, burmistrz, z którym mieszczanie procesują się pod grozą, „że zgubi złotą wolność miasta JKMci Krosna“. August III. wreszcie pozwolił użyć rozsypujących się fortyfikacji na poprawę fary.

Jadwiszka ze Lwowa.

(Z DZIEJÓW SERCA KRÓLEWSKIEGO).

Z najprywatniejszych spraw Władysława IV. wyłania się dyskretnym cieniem okryty obrazek, prawdziwa sielanka na tronie, razem ze złamanem sercem, szczęściem w zakątku i niespodziewanym, a dość trywialnym epilogiem. Historycy nie wiele wiedzą o Jadwiszce ze Lwowa, również i jej przybrane, czy prawdziwe nazwisko „Łuszkowska“ nic nie powiada, dopiero objaśnienie współczesne, że to jest miano „faworitey J. K. M. Władysława IV.“ rzuca pewne światło na tę kobietę, a zarazem i na samego króla, którego sprawy małżeńskie roznamiętniały umysły sejmu, senatu, a nawet całego ogółu szlacheckiego.

„Pani Jadwiga ze Lwowa“ była według wszelkiego prawdopodobieństwa mieszczką lwowską z tych, co to od dawna słynęły z urody, wykształcenia, wysokiej ogłady i elegancji. Wytworną też musiała być nasza Jadwiszka, skoro nawet nadała miano takiej subtelnej, buduarowo - toaletowej rzeczy, jak poduszeczka na szpilki, od niej współcześnie „jadwiszką“ zwana, a piękną, skoro zwróciła na się uwagę „takiego Pana, któremu się nigdy nic, jeno co fortunnego, co poszanowania i miłości godnego, nie podobało“.

Mógł ją poznać Władysław jeszcze jako królewicz, bawiąc przez dłuższy czas we Lwowie, w czasie wyprawy tureckiej, może wcześniej a może i później. Była jednak Jadwiga Łuszkowska ideałem Władysława IV. stałym, przez czas dłuższy, miłością prawdziwą i rzetelną, skoro nawet dziecię tego związku nosiło miano królewskie. Nazywał się bowiem syn Jadwiszki i Władysława, po ojcu, Konstantyn de Waza, ale umarł w młodym wieku.

Zostawszy królem, nie porzucił Władysław IV. starej miłości, chociaż musiał już wejść w oficjalne związki małżeńskie, zrobić ze swego serca ofiarę a ożenić się tak, jak nakazywała zewnętrzna polityka państwa i sytuacja międzynarodowa. Na tych rzeczach jednakowoż Jadwiszka nic się nie rozumiała, czy też rozumieć nie chciała, gdyż nie umiała śladem innych faworyt królewskich ani intrygować politycznie, ani swojego wpływu gruntować. Oddaje jej w tem sprawiedliwość podkomorzy przemyski, Jakób Maksymilian Fredro, mówiąc: „nie zawsze pokora szczęśliwa, tak i szczęście nie zawsze korne — ale pokora rzadka przy szczęściu cnota. W tej matronie dziwować się każdy musi takowej ludzkości i skromności, która każdemu przystępna, każdemu dobroczynna, nikomu *infesta* (nieprzyjazna) nie była“.

Jeżeli jednak pani Jadwiga ze Lwowa ugruntowała swoje ciche szczęście przy boku królewskim na trzymaniu się zdala od polityki, to niebawem znalazła groźne rywalki na wielu dworach europejskich. Za młodego a potężnego króla pragnęły wyjść za mąż wszystkie, ile ich tylko było podówczas na wydaniu, arcyksiężne austrjackie; stary wyga, kardynał Richelieu, kroił marjasz Władysława z Marją Gonzagą ks. Nevers, późniejszą Marją Ludwiką, sam król zakochał się jednak w portrecie Elżbiety, córki Fryderyka Palatyna reńskiego, a wnuczki króla angielskiego, Jakóba.

Elżbieta była protestantką, skutkiem czego senat stanowczo zakazał się Władysławowi IV. żenić z nią, jako z heretyczką. Rozkochany w portrecie król, płakał, jak powiadają, całemi nocami ze zmartwienia, groził, że się ożeni z Jadwiszką, ale to wszystko nic nie pomogło. Poszły swaty do Wiednia a Cecylja Renata niebawem zasiąść miała na tronie polskim.

Przedtem jednakowoż trzeba było coś zrobić z Jadwiszką, dla której, biednej, nie było już miejsca przy boku króla. Na szczęście znalazł się ochotnik do małżeństwa z faworytą królewską. Był nim Jan Wypyski, herbu Grabie, chorąży nurski, starosta merecki.

Nastąpiła chwila niezmiernie dramatyczna, czyli wesele młodej pary. Dzisiaj takie rzeczy załatwia się dyskretnie, tak, że ani ucho ludzkie o nich nie słyszy, podówczas jednak nie lubiano widocznie niczego owijać w bawełnę, bo z całą szczerością, czy prostotą, czy też naiwnością, urządzono spektakl, któryby miał dziś formy niebotycznego skandalu. Oto na owem weselu był sam król, sam też niedawną swoją kochankę oddawał panu młodemu a na uroczystości weselnej przemawiał podkomorzy przemyski, wspomniany już wyżej Jakób Maksymiljan Fredro.

I właśnie ta mowa, przechowana do dziś w w rękopisie*) byłaby teraz punktem kulminacyjnym spektaklu. Tak jest bezwzględnie i brutalnie szczera, taka paradna w swoim patosie, w swoich figlach logicznych, że — nie wiemy, dlaczego pan młody zaraz na weselu nie plunął na wszystko i nie uciekał za góry i lasy. Wierzyć się nie chce, żeby pan podkomorzy przemyski nie miał na myśli jakiejś złośliwości, żeby na serjo i z serca potrafił bło-

*) Rps. Bibl. Ossol. nr. 240 str. 91.

gosławić związek i opierać jego szczęście właśnie na... całej przeszłości panny młodej.

A jednak zaczął ten osobliwy orator od tego, że wszystko jest na świecie człowiekowi przeznaczone. „Przeto nikt tego w nikogo nie wmówi, aby co inszego brał, co inszego upodobał, jeno to, co mu Pan Bóg do serca poda“.

Po tym fatalistycznym wstępie, poczyna być pan podkomorzy... klasycznym, mówiąc na weselu, że wszystko by właściwie odciągało pana młodego od oblubienicy, a on jednak ją wybrał: „Nie bez tego aby zacność domu Waszmości, gdzie zawsze starożytność z poczciwością w jednej sforze chodziła, nie do innego ciągnęło postanowienia, nie bez tego żeby tak wysokie *qualitates* (zdolności) Waszmości i we wszelakich sprawach *dexteritas* i *prudentia* (rozwaga i roztropność) czego innego nie radziła. Nie bez tego, aby kwitnąca młodość i łaska J. K. Mci i tak wielki fawor ludzi, którycheś sobie cnotą, godnością, usługami zjednał, do czego innego nie prowadziły. Szedłeś jednak tam, gdzie cię fakta kierowały, stanąłeś na tem miejscu, gdzie z góry naznaczono i zahamowano“.

Dalszy patos pana podkomorzego zaczął być już naprawdę ...kompromitującym. Oto, co prawił pod adresem pani Jadwigi, „która za szczęściem swojem przyszedłszy do tego, że się J. K. Mci jako najprzedniejszemu wszystkich sierot opiekunowi dostała, wreszcie dostąpiła tego, że fata jej serce i oczy J. KMci do niej obróciły i skłoniły. Otrzymawszy ten los, że bliżej nad insze do upodobania i uciech królewskich przypuszczona, azaż nie mogła sobie za łaską tak wielkiego, możnego i hojnego monarchy coraz to większych nadzieji i fortunnych ozdób swych czynić? Azaż nie mogła z rąk tak wielkiego opiekuna i patrona, wielmożnego towarzysza upatrować? Mogła nieochybnie! Damom takim niczego się zwykle nie odmawia. A przecież do tego towarzysza serce skłoniła, którego jej szczęście i niebo oznaczyło“.

W tem miejscu opadły pana podkomorzego pewne refleksje: „A nie bądź Waszmość — mówi — tego rozumienia *et non haeret* (i niech się nie czepia) to myśli Waszmości, aby to miało co *dehonestare* (ubliżać), że do poufałych stosunków pana swego przypuszczoną była“. Inaczej bowiem prawo polityczne mówi o zwykłych śmiertelnikach a inaczej o królach, w dowód czego przytacza mowca faworytę Henryka IV. francuskiego, której syn między książąt krwi został policzony i arcybiskupa Verdumskiego, który był takiegoż pochodzenia, zresztą mógłby mowca „wiele przykładów przytoczyć, jako takowe damy wielkich królów zawsze za zacne były uważane“.

Najwstrętniejszym jednak dla dzisiejszych pojęć był pan podkomorzy przemyski przy końcu swej oracji, gdy wyliczać począł jakie korzyści pan młody z tego małżeństwa odniesie. Po pierwsze, że „wszystko cokolwiek z rąk panów swych bierzemy, nie może być, jeno zacnego, jeno poczciwego, jeno ozdobnego, ponieważ od majestatów królewskich, które są źródłem ozdoby i szlachectwa, lubo różnym sposobem, na poddanych zwykły honory i ozdoby przychodzić...“ Wreszcie każe się znowu cieszyć panu młodemu, że król go do takiej poufałości przypuszcza ze sobą, co tylko w przyszłości temu małżeństwu szczęście przynieść może i t. d.

Wesele się skończyło, o dalszych losach Jadwiszki ze Lwowa nic nie wiadomo, wiadomo natomiast, że pożycie Władysława IV. z Cecylją Renatą nie bardzo było szczęśliwe.

Fr. Jaw.

PRAWDY I WSKAZANIA.

„Nie czasu mało mamy, ale wiele marnie utracamy. Życie jest dosyć długie i do największych dzieł dopełnienia szczodrze udzielone, jeśli tylko całe dobrze będzie obrócone. Lecz gdy przez rozkosz i gnuśność nikczemnie upłynie; gdy na nic dobrego łożone nie będzie: tedy pewnie przy schyłku doznamy, iż już minęło wprzód, nimeśmy postrzegli, że przemija“.

„Inna rzecz długo żyć, a inna długo na świecie przebywać. A to jak? Rozumieszli, iż ten daleko żeglował, którego zaraz od brzegu bystre porwawszy wiatry, tam i ówdzie rzucały, toż mocą wiatrów przeciwnych na tymże miejscu w okrąg obegnały? taki niedaleko żeglował, ale długo był miotany“.

„O sam czas zgoła nikt nie dba, mitrężą go, jako rzecz darmo nabytą. Lecz spojrzyj na nich, gdy je choroba ku śmierci podmyka, jako lekarzów nogi obłapiają, gdy się lękają wyroku śmierci, jako w ten czas, dla zachowania życia, wszystko łożyć są gotowi. Gdyby to być mogło, iżby każdy mógł swe przyszłe lata tak liczyć, jako przeszłe; o jakby się ci zalękli, którzyby ujrzeli, iż im już niewiele pozostaje! jakby się oszczędnie niemi obchodzili!“

Seneka (O krótkości życia).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

Rajmund Scholz: Królewna Wiosna. Bajka sceniczna w 1. odsłonie. Buczacz 1905.

„Sceniczną" jest ta bajka o tyle, że nadano jej formę dramatu — poza tem nie ma „Królewna Wiosna" nic wspólnego z scenicznością. Nieuzasadnionym więc jest podpis pod tytułem bajki: „sceniczna", zwłaszcza, że odnosi się wrażenie, jakoby autorowi o sceniczność wcale nie chodziło. Cel bajki: wyznać swą wiarę w piękną moc życia, w umiłowanie wstających, jasnych zórz, wiarę w płonącą niegasnącem życiem młodość. A równocześnie przeciwstawia autor nicość życia i pieśni młodego śpiewaka, który miast patrzyć w sprawy życia i o nich spiewać, goni za mamidłami rojonemi.

Jeśli się pominie milczeniem wątłą budowę niniejszej bajki, a zwróci się uwagę przedewszystkiem na treść istotną „Królewny Wiosny" i jej cel, wyrażony pięknem a dźwięcznem słowem — to utwór p. Scholza (napisany, jak wskazuje data końcowa, jeszcze w 1903 r.) musi się stanowczo oddzielić od całego szeregu wysiłków grafomańskich, które w ostatnich czasach rozrosły się u nas, jak grzyby po deszczu — i, choć go jeszcze doskonałym nazwać nie można, nie należy go przemilczać.

Fel. Gw.

Mikulasz Rej z Nagłowic, ku cztyrstoletemu jubileu napsal J i r i P o l i v k a. (Otisk z Czeskèho Czasopisu Historickeho. roc. XI.), 8-ka, str. 24.

W pracy niniejszej dał autor zwięzłą a trafną charakterystykę żywota i dzieł Reja, opartą nie tylko na wyzyskaniu najnowszych badań nad pismami twórcy „Zwierciadła", (przyczem cała literatura została wymieniona w przypiskach), ale też na gruntownej znajomości samychże dzieł. Jako praca informacyjna, napisana z okazji 400-lecia urodzin Reja, ma ona doniosłe znaczenie także i dla nas, skoro nie posiadamy dotąd podobnego, popularnie a naukowo napisanego szkicu, któryby dał szerszemu ogółowi wizerunek pisarza, którym dziś tylko zawodowi badacze literatury się zajmują.

Przy tej sposobności — skromna uwaga. Ilekroć wypadnie u nas obchód jubileuszowy którego pisarza, zawsze Czesi starają się poznać z nim swoje społeczeństwo. Jak ten stosunek na odwrót wygląda, — nie potrzebuję dodawać.

S.

Ueber die Entpalatalisierung der urslav. e-Laute im Polnischen von H e i n r i c h Ułaszyn. Leipzig. Verlag Otto Ficker, 1905.

Z umysłu nie wyczerpał autor refleksów starosłowiańskich dźwięków „e" w języku polskim we wszystkich możliwych pozycjach w poszczególnych słowach, a natomiast ograniczył się zbadaniem tychże refleksów w najmniej skomplikowanych, jednak najważniejszych pozycjach. Praca omawiana jest ważna choćby z tego względu, że autor usiłuje obalić wszystkie dotychczasowe w tym zakresie hipotezy, Lorentza, Brandta i Brücknera a w ich miejsce postawić nową, trwalszą i więcej od tamtych uzasadnioną. Materjał językowy, na jakim autor się oparł, jest rozległy, wartość zaś wywodów podnosi wielce oparcie się na porównawczej metodzie z innymi językami słowiańskimi.

Z.

ZAPISKI.

Z archiwów. W starostwie w Bóbrce znajduje się wiele ciekawych starych aktów, należących dawniej do gubernium brzeżańskiego. Dotyczą one początku XIX stulecia; przedstawiają wielki materjał do statystyki, niektóre dotyczą kościołów w Starem-Siole, w Bóbrce, Chodorowie, oraz cerkwi w Bakowcach, Szołomyi, Borusowie, Olchowcu; te są mniejszej wagi. Akta z Dźwinogrodu od r. 1795—1825 zajmują się sporem gminy z mandatarjuszem; zaś akta bobreckie od r. 1780 sprawami małomiasteczkowemi.

W jednej z okolicznych wiosek natrafiłem na bardzo ciekawą rzecz, noszącą tytuł:

„Inwentarz Poddanych Miasteczka y Wsi Dźwinogroda z Ich Gruntami tak w Polach ornych iako y „Sianożęciach tudzież Powinnościami „i Daninami według dawnego zwyczaju należącemi się w Roku 1776 „przez Antoniego Jędrzejowskiego „Wsi y Miasteczka Dźwinogroda spisany".

Do tego inwentarza dołączone są dwie mapy, bardzo starannie wykonane, jedna pomiarowa z napisem:

„Mappa Osiadłości Miasteczka „Dźwinogroda, z Ogrodami Gromadzkiemi z Placem Folwarku Dworskiego z Wałami Twierdzy dawniey „bywaiącey przeciwko Inkursyom „Tatarskim przy ułożeniu Inwentarza „delineowana A: 1776. Z wyrażeniem „oraz Nazwisk każdego Dworzyska „ośmiodniowego w dawnych Inwentarzach Skarbowych znajdujących „się y pod Numerem Kościelney „Liczby oznaczonych.

Druga:

„Mappa Osiadłości Wsi Dźwinogroda z Ogrodami Dworzysk Ośmiodniowych z Sianożęcią Dworską y „Cerkiewną nad Jeziorem ciągnącą „się oddelineowana w Roku 1776-tym".

Mapy te, które zamierzamy reprodukować w „Tygodniu", rzucają światło na historję Dźwinogrodu, spór, czy tu leżał stary gród ruskich książąt, posuwają nieco naprzód, zatem dla historyka są znacznej wartości.

Karol Notz.

Rodowód Venus Medycejskiej. Na ostatniem posiedzeniu paryskiej Akademji napisów, archeolog Salomon Reinach wyprowadzał rodowód słynnego posągu Wenus, zwanej Medycejską. Dotychczas przypisywano to arcydzieło, znajdujące się w galerji florenckiej, jednemu z uczniów Praksytelesa. Reinach wraz z prof. Mahlerem z Pragi dowodzi, że twórcą jest Lysippus, największy mistrz peloponeski. Na dowód przytacza podobieństwo twarzy i układu postaci z niewątpliwem jego dziełem Apoksymenosem (młodzieńcem, ocierającym się z oliwy i kurzu po występach na arenie). Ten posąg znajduje się w Watykanie. Dalej głowa Wenus przypomina główkę kobiecą tegoż mistrza, znajdującą się w galerji drezdeńskiej. Nadto ten sam motyw postaci znajdował się na odwrotnej stronie rzymskich monet w Sicyon, mieście rodzinnem Lysippusa.

Drukiem W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.